

Tekst autoryzowany

Irena Rożek

Archiwum Uschadynie 60

Irena Rożek

© ARCHIWUM USCHADYNIE

Urodziłam się w 1927 r. w Baranowiczach. Ojciec mój był policjantem w randze plutonowego. W 1939 r., kiedy słychać już było czołgi sowieckie od strony granicy, ojciec jak też cała administracja państwowa i policja / i wszyscy, którzy byli szczególnie narażeni ze strony sowietów/, wyjechali rowerami na Litwę. Tam zostali skierowani do obozów internowania. 17 września wkroczyli Sowietci na Białoruś, do Baranowicz. Zostaliśmy /ja, mój brat Antoni, siostra Halina/ z matką. Mieliśmy dom jednorodzinny. Było nam bardzo ciężko, nie dostaliśmy już nawet ostatniej pensji ojca. W tym czasie jeszcze przyszedł do nas dziadek piechotą z Lublina. Miał on w Baranowiczach swój dom, ale przebywał czasowo u syna w Lublinie. Przyszedł obdarty, chory i prawie ranny i zamieszkał z nami.

Nie był meldowany u nas i w czasie kiedy przyszli nas deportować - było to 13.IV.1940 r. - dziadek nie był na liście i mógł z nami nie jechać, zdecydował jednak nam towarzyszyć. Odbyło się to w ten sposób, że nocą załomotano do drzwi - w systemie sowieckim zawsze wywozili i wszystkie inne rewizje odbywały się nocą. Otworzyła matka. Zerwaliśmy się ze snu. Powiedziano nam, że chcą tu przeprowadzić rewizję. Oczywiście były to tylko pozory, bo zajrzeli za ledwie do szafy i niczego nie wertowali. W końcu powiedzieli, że jesteśmy przeznaczeni do deportacji i żeby się pakować.

Miałam wtedy 13 lat, siostra o rok starsza, brat młodszy. Chodziliśmy za matką i płakaliśmy, matka też straciła głowę, właściwie nie wiedzieliśmy co robić, co z sobą zabrać. O ile pamiętam, ci którzy nas zabierali, nie zachowywali się zbyt brutalnie i właściwie moglibyśmy zabrać o wiele więcej rzeczy, ale zabraliśmy niewiele, czego później żałowaliśmy.

Matka zdjęła obraz ze ściany i w jakiś stary kufer amerykański spakowała trochę pościeli i rzeczy osobistych. Wzięliśmy trochę żywności, naczyń prawie wcale nie. Na podwórku stała furmanka, na którą to załadowali i wywieźli nas na kolejową stację towarową na obrzeżach miasta. Tam stała ciężarówka i żołnierze sowieccy z bagnietami na broni. Zapakowali nas wszystkich do ciężarówki. Ci żołnierze z bagnietami pilnowali nas, chociaż wcale nie mieliśmy zamiaru uciekać - byliśmy bezsilni i bezradni. ./.

Zawieźli nas do Dworca Poleskiego, który znajdował się w centrum i załadowali do pociągu towarowego. Tam było już mnóstwo ludzi, strasznie ciasno, mnóstwo kobiet, dzieci i starców. Staliśmy dość długo. Przychodzili ludzie, rzucali nam chleb, ale nie mogli dorzucić - do samego pociągu ich nie dopuszczono. Nie pamiętam już jak długo staliśmy. Kiedy pociąg zaczął ruszać, wszyscy zaczęli śpiewać ^{ROTE}... Jechaliśmy bardzo długo, bo jakieś 2 tygodnie do Uralu. Do Uralu nie wypuszczono nas w ogóle ani razu. Krasnoarmijcy przynosili do pociągu w kubłach jakąś tam kaszę * polaną po wierzchu oliwą, ale na razie nie byliśmy wygłodzeni, bo każdy tam jeszcze ze sobą jakąś żywność miał. Pierwszy raz wypuszczono nas wszystkich na Uralu. Było ciepło, bardzo ładnie, tak więc z przyjemnością każdy wyszedł. Wcześniej nawet fizjologiczne potrzeby załatwiano się w kubłach - było to straszne. Wtedy też zobaczyliśmy kilku znajomych i zrobiło się trochę różniej. Nie było to może zbyt ładne, ale tamci też się ucieszyli, że my jesteśmy i może łatwiej ~~nam~~ będzie jakoś razem sobie radzić. Później przyjechaliśmy do stacji już za Uralem, nazywała się Pietuchowo. Tam nas wyładowano z pociągu i czekały tam samochody ciężarowe używane do przewozu zboża. Załadowano nas na te samochody. Kierowcy byli różnych narodowości: Kirgizi, Tatarzy, Rosjanie. Tam, gdzie kierowcą był Kirgiz, ciężarówka jechała do wioski kirgizkiej. Myśmy trafili do Rosjan, do ruskiego kołchozu. Administracja tego kołchozu rozlokowała nas w prywatnych mieszkaniach, u gospodarzy którzy zgłosili chęć zakwaterowania. Było tam okropnie, przeważnie po jednej lub dwie izby oraz ziemianki. Oni sami tam ^{byli} bardzo się gnieździli, a tu jeszcze lokatorzy. Ale byli ciekawi nowych ludzi. W ogóle był to naród ciemny, myśleli, że Polacy to mają rogi. No i zaczęła się gehenna. Klimat okropny, zaczynało się lato, wiatry straszne, piach oczy zasypywał. Był to klimat kontynentalny w Kazachstanie lata były gorące, zimy bardzo mroźne. Zaczęliśmy jakoś to życie pędzić. Jedzenie było początkowo, potem się skończyło. Wszystko trzeba było zdobywać. Nie byliśmy na tyle duzi, żeby pracować, ale już trzeba było zaczynać. Pamiętam - kopaliśmy ogrody, plewiliśmy. Najwięcej pracowała starsza siostra. Brakowało obuwia i ubrań. Powyrastaliśmy już z tych, które przywieźliśmy z sobą. Nie pamiętam już w którym roku dziadek zachorował na krwawą dezyn-
terię. Mama odwiozła go do szpitala, do Presnówki /to był Rejon Presnowski/. My mieszkaliśmy we wsi Ostrówka /jest to 80 km od

od stacji przeładunkowej Pietuchów. Przez jakiś czas leczono dziadka w Priesnówce, ale wkrótce zmarł. Zmarła też wtedy tam jeszcze jakaś Polka. Długo razem leżeli w kostnicy, bo nie można było wyprosić, żeby ktoś zrobił deski na trumnę. Poza tym bardzo ciężko było wykopać grób, bo mrozy były 40^o i ziemia zmarznięta. Matki długo nie było, czekaliśmy zdenerwowane, bo nie było od niej żadnej wiadomości. W końcu mamie udało się pochować dziadka i tą kobietę, która nie miała nikogo bliskiego i leżała tam bardzo długo.

Nie pamiętam już jak te poszczególne lata przebiegały.

Jakoś trwała ta walka o przetrwanie. Dorastaliśmy. Najgorszy to był brak mieszkania. Gdybyśmy wzięli ze sobą jakieś zasoby; jakieś obrączki mamy, garnitury ojca/pozostały w domu/, moglibyśmy kupić chociażby jakąś ziemiankę. Za kałdrę np. nasz znajomy kupił ziemiankę. Było to bardzo ważne, bo miało się dach nad głową. A tak musieliśmy się tulać po kwaterach. Póki mieliśmy tam jeszcze coś do ukradzenia z odzieży to nas trzymali, a później poprostu wyrzucili, żeby sobie pójść.

Przeprowadzaliśmy się z miejsca na miejsce, w końcu przyjęła nas starsza kobieta, ale miała tylko jedną izbę. Sami więc postawiliśmy sobie taką ściankę z trzciny i gliny, podłogę wylepiliśmy gliną i postanowiliśmy tam mieszkać. Musieliśmy jednak korzystać z jej pieca, co jej się nie podobało. Z chwilą, kiedy nie mieliśmy czym płacić, też powiedziała, że nie będzie nas trzymać.

Było nas tam jakieś 20 rodzin. Rodziny, które były bardziej obrotne pracowały trochę w kołchozie, trochę kradły i jakoś załatwiły sobie mieszkanie - miały samodzielne lepianki.

Z chwilą kiedy wybuchła wojna, wszystkich którzy mogli pracować /głównie starsza młodzież/ wywieźli do Akmołjńska na roboty.

Były to roboty na kolei, w przemyśle - w czasie wojny byli tam bardziej potrzebni niż tutaj. Zostało nas kilka rodzin, które miały mniejsze dzieci. Wtedy przeprowadziliśmy się do lepianki i mieliśmy przynajmniej dach nad głową. Lepianka ta należała do gospodarzy, którym trzeba było odpracować za dach nad głową. Musieliśmy uprawiać ogrody. Pozwolono nam też uprawiać dla siebie ziemniaki za wioską. Sadziliśmy je więc i dzięki nim się przeżyło.

Zaopatrzenia w ogóle nie było. Nikt nie zaopatrywał się w sklepach, wszystko zdobywało się jakimś gospodarczym sposobem. W sklepie było tylko mydło, perfumy, wódka i cukierki. Przemysłowego sklepu nie było. Sklep spożwczy z reguły był zamknięty, bo nie było czego sprzedawać. Dopiero jak sprzedawczyńki jechała po towar, to już od rana stała kolejka, był wielki tłok. Sprzedawali po pół litra wódki i wydzielali po ileś tam kanfietów i tych śmierdzących perfumów. Jak było trochę pieniędzy, to czasami kupiło się te pół litra wódki i później wymieniło się jakiemuś pijaczkowi za zboże lub chleb. Jak zauważył, że kupiliśmy wódkę, to przychodził od razu w nocy i walił do drzwi, żeby mu sprzedać. Kiedy ze sklepu wszystko wysprzedano, znówu zamykano go na jakieś dwa tygodnie. Tak wyglądało sowieckie zaopatrzenie.

Siostra pracowała w kołchozie, a ja z bratem wykręcaliśmy się. Wyplataliśmy w domu koszyki na większą skalę i sprzedawaliśmy je za mleko, za zboże. Wzicie mogła wychodzić tylko jedna osoba, bo bardzo trudno było o obuwie. Były wtedy prace przy magazynowaniu zboża, odsiewanie plew na ręcznych maszynach, przesypywanie, żeby się nie zagrzało. Tam nabierało się trochę do kieszeni - po prostu kradło się, wszyscy to robili, jakiś kilogram zawsze można było przynieść. Tyle, że za kilogram ukradzionego zboża groziło 10 lat więzienia, i to sędzone od dwunastego roku życia. Było to bardzo niebezpieczne, ale oni wiedzieli, że wszyscy to robią, bo inaczej by nie przeżyli, nie mieliby siły roboczej. Pamiętam jak znajoma kołchoźnica, bardzo zamożna - była dyrektorem kołchozowej straży pożarnej, pożyczyła na przedańku pudło ziemniaków. Później w czasie zbiorów siana przyszła, żeby odpracować żeby pomóc zbierać to siano. Brakowało obuwia i nie było miałam w czym wyjść. Poszłam więc bosą. Siano było w kopkach i było trzeba je wiązać sznurkiem tak sprytnie, żeby mogła je ciągnąć przydzielona nam krowa. Nie bardzo wiedziałam jak to zrobić, w końcu jednak przyuczyłam się, ale jak wróciłam to całe nogi były okrwawione. Najgorsze były przedańki, bo kończyły się wtedy ziemniaki, które uprawialiśmy

i trzeba było zdobywać jakoś jedzenie. Pamiętam, na wiosnę wyruszyliśmy zbierać kłosa, bo piękny był urodzaj tego roku i nie zdążyli wszystkiego zebrać. W ogóle organizacja pracy była tam fatalna, bardzo dużo zostawało. Jesienią nie pozwolili zbierać, ale myśleliśmy, że przynajmniej wiosną, bo to już i tak miało być zaorane. Kłosa były piękne, tyle że zbutwiały. Nazbieraliśmy ich trochę i przyszedliśmy do domu. Gdy dowiedzieli się o tym, więcej już nie pozwolono. Ktoś tam jeździł na koniu i przeganiał zbierających. Później podpalili to i wszystko spłonęło. Następny rok był taki, że nie zebrali nawet tego, co tam zostało spalone. Taka była ich gospodarka. Byliśmy więc bardzo głodni. W kółchozie zdechł koń i to mięso sprzedawali. Mama miała trochę pieniędzy, kupiła mięso i gotowała go 3 godziny, nadal było twarde. Mięsa w ogóle było bardzo niewiele. Były ziemniaki, mleko, trochę kapusty ukisiliśmy. W lecie zbieraliśmy jagody i dzikie wiśnie, trochę się suszyło na wiosnę. zimę. Którejś wiosny chodziliśmy do lasów i polowaliśmy na młode wrony. To było straszne, nie mogłam tego znieść. Brat wychodził na drzewo i wybierał młode wrony a potem trzeba było je zabić. Były bardzo dobre tłuste jak kurczaki ale to było okropne. Moralnie człowiek bardzo to przeżywał ale robili to wszyscy.

Przywieźli też Niemców z nad Wołgi, tzw. Niemców Nadwołżańskich i strasznie się z nimi obchodzono. Byli oni jednak już zaprawieni, bo żyli w ZSRR, więc bronili się jak mogli. Była ich cała kolonia, więc szybko pobudowali sobie lepianki: połowę w ziemi, połowę w darni. W ciągu dnia budowali jedną lepiankę. Pracowali w kółchozie ale traktowano ich bardzo źle i ciągle głodowali. Wszystkich młodych mężczyzn a nawet kobiety zebrano i wywieziono do szacht Karagandy. Tam traktowano ich jak skazańców. Podobno 3 razy dziennie jedli kapustę i byli wymęczeni. Wyniszczyła ich gruźlica - zapadali na nią masowo i umierali. Dzieci ich chodziły po wioskach i żebrały. Przyszedł kiedyś jeden, stanął na

progu i mówi: "Pisi kusoczek chleb". Nie można mu było wytłumaczyć, że nie mamy, że sami jesteśmy głodni, on ciągle "Pisi kusoczek chleb". W końcu zdenerwowałam się i wygoniłam go za drzwi. I miałam wyrzuty sumienia, ale nie mogłam mu wytłumaczyć, bo nie rozumiał po rosyjsku. Przywiezili też Czeceńców, którzy podobno buntowali się i nawet strzelali do żołnierzy radzieckich. ^{gdy zbliżać się front niemiecki i} Byli nacjonalistami i chcieli mieć odrębną republikę.

Później, nie pamiętam w którym to roku, była wielka wagonka na Polaków. Było to wtedy, gdy Anders wyjechał z wojskiem za granicę. Na szczęście powstał Związek Patriotów i zgłosiliśmy się do urzędu do Priesnowki, żeby wyrobić sobie dokumenty. Bardzo nam wmawiano, że jesteśmy Białorusinami, bo przecież mieszkamy ^{W tym} w Baranowiczach, ale mówiliśmy, że niestety, nie jesteśmy Białorusinami tylko Polacy. ^{igraem.} Dostaliśmy dokumenty i zaczęło się oczekiwanie. Cały czas żyliśmy z nadzieją. Zbieraliśmy się np. na nabożeństwa majowe. Zaraz po przyjeździe powiedziano nam, że absolutnie nie wolno, że jeśli ktoś chce, to niech się modli w domu. Spotykaliśmy się jednak, opowiadaliśmy kto jakie listy dostał z domu. Żyliśmy nadzieją, że wrócimy do kraju, bo nawet nikt nie dopuszczał myśli, że można przeżyć życie w takich warunkach, w takim prymitywie. Była nadzieja, że wrócimy do Polski, do wolnej Polski.

Niestety musieliśmy jeszcze po zakończeniu wojny cały rok czekać na repatriację do Kraju. To był straszny rok. Wszystkie siły były już wyczerpane. Okropny był przedmówek. Z kołchozu wszystko było zabrane dla wojska, w ogóle nie było żywności. Opiekowaliśmy się ^{stepo czasu} rodziną, która mieszkała razem z nami w tej ciasnej izbie. Przyjechał po nich ojciec z ^{do domu} armii Andersa i zabrał ich tam. Później dostaliśmy od nich 2 paczki.

Przyszła też pomoc z UNRA do Priesnowskiego Obwodu i Polki z ZPP zaczęły rozdzielać trochę płaszczy, jakiś groch, purre, itp. Oprócz tego dostaliśmy jakieś paczki żywnościowe z Iranu - zapomogę dla rodzin

wojskowych. Pewnie mieli nasz adres od tej znajomrj rodziny. Przyszła też pomoc z kraju. Ojciec uciekł z obozu internowania jak Sowieci wkroczyli na Litwę i przedostał się na przez Prusy do Warszawy i do Lublina. Wujek z Lublina był w Wojsku Polskim i mógł przez pocztę ^u p^ową przesłać nam pieniądze. To już zupełnie nas uratowało.

Dopiero po roku czasu wezwano nas i wręczono nam papiery repartycyjne. Z tymi papierami jeszcze musieliśmy czekać ale to już było co innego - była nadzieja i radość, że wracamy. Jak wyjeżdżaliśmy, okazało się, że siostra powinna była się rozliczyć z kółchozem i powinna była dopłacić kółchozowi, bo inaczej grożono, że nie będzie mogła wyjechać. Była winna dlatego, że nie pracowała przez cały rok a tylko w okresie kampanii żniwnej. Dostawało się wtedy tylko 1kg. chleba dziennie na osobę. Siostra pracowała 3 miesiące i miała 90 tzw. "trudodni" a zjadła 90 kg. chleba. Później się okazało, że powinna mieć 360 "trudodni" w roku a za "trudodni" przysługiwało jej tylko 300 g chleba. Tak więc ona za dużo zjadła a za mało pracowała. Jakoś jednak udało jej się z tego wywinąć i dostała pozwolenie na wyjazd. Morał z tego taki, że praca nie opłacała się - ja nie pracowałam i dzięki temu nie miałam ^{W kółchozie} żadnych kłopotów ^{tego rodzaju}. Z kółchozu nie mieliśmy czym wyjechać, bo była wiosna i nie miano nas czym dostarczyć. W końcu dane nam woły. Było nas 4 rodziny, dobytek był niewielki ale te padające zwierzęta ledwo to ciągnęły. Przeszliśmy na piechotę 12km do Priesnowki. Mieliśmy tylko trochę starych ubrań, jakiś tytoń i mąkę kartoflaną, którą mama zrobiła z takich malutkich kartofelków. W Priesznówce okazało się, że do stacji też nie ma nas czym dostarczyć, bo ciężarówki musiały wozić zboże dla państwa. Myśmy wyładowali się pod jakimś płotami i tam nocowaliśmy przez jakiś tydzień czasu. W końcu załadowali nas na te samochody i przewieźli do Mamlutki, gdzie była stacja kolejowa. Wyrzucili nas przed jakąś wiatą i okazało się, że znowu nie było dla nas żadnych transportów towarowych. Znowu czekaliśmy w tej wiacie jakiś tydzień. Po tym załadowano nas do wagonów towarowych i znowu podróż. Transport włókł się, często stawał i ruszał bez ostrzeżenia

Jak wysiedliśmy, od razu garnek, dwie cegły i zaczęliśmy gotować. Kiedy pociąg ruszał niespodziewanie, trzeba było to wszystko zbierać i wskakiwać do pociągu w biegu. Gdzieś w drodze, na jakiejś stacji stał transport, też towarowy. Okna zabite naглуcho. Zorientowaliśmy się że mówią też po polsku, słyszeliśmy jakieś krzyki. Okazało się, że byli to wywożeni do ZSRR AK - owcy. Myśmy nie mieli wtedy pojęcia kto to jest. Nie wiedzieliśmy co się dzieje - my wracamy do kraju a tu znowu z kraju wywożą ludzi. Byliśmy zupełnie nieorientowani politycznie, nie wiedzieliśmy co w kraju się dzieje.

Jadąc do Brześcia przejeżdżaliśmy przez Baranowicze, które były dużą stacją rozdzielczą. Gdy pociąg się zatrzymał ja z matką i z bratem wysiedliśmy, by pójść, zobaczyć do swojego domu. W domu już oczywiście ktoś mieszkał, więc nawet nie wchodziliśmy. Potem poszliśmy jeszcze kilkanaście kilometrów do znajomych, u których zostawiliśmy swoje rzeczy. Zabraliśmy tylko łóżko i maszynę do szycia. Przychodzimy na stację i okazało się, że pociąg już odjechał. Wsiadliśmy w następny, towarowy i jakoś dotarliśmy do Brześcia i tam zastaliśmy nasz pociąg, który czekał na odprawie celnej. Przyjechaliśmy do Białej Podlaskiej, gdzie był punkt rozdzielczy repatriacyjny. Wyszliśmy z pociągu i gdy na targu zobaczyliśmy *parówki* nie wierzyliśmy, że się to w ogóle sprzedaje. Nie mieliśmy za co kupić ale mieliśmy tytoń i dostaliśmy za niego taką parówkę. Wzięliśmy ją aż do Lublina, bo myśleliśmy, że trzeba się tam podzielić nią z kimś. Człowiek odzwyczajają się od normalnego życia, normalnego myślenia, normalnych zachowań w społeczeństwie. Przez cały okres nie widzieliśmy cukru i teraz też nie słodzę bo wszystko jest dla mnie za słodkie. Przesiedliśmy się na pociąg do Lublina, a reszta naszych znajomych pojechała na Zachód. W Lublinie ojciec i brat mamy od razu się nami zaopiekowali. Cały nasz dotychczasowy dobytek, te wszystkie szmaty, zostały uroczyście spalone.

Po powrocie z zesłania do Polski miałam 19 lat. Chciałam wykreślić z pamięci te 6 lat, nie wracać do tego okresu. Nie pamiętam dat, szcze-
gółów. Dlatego relacje moje są niezbyt dokładne. Chcę zaznaczyć, że prze-
te 6 lat władze radzieckie nie zdołały "pierewospitat" dzieci i młodzie-
dzież polską/takie były jej założenia/, z całą pewnością mnie, moje ro-
dzeństwo i najbliższe nasze otoczenie. W roku 1943 lub 1944 na wiosnę
/przednówek/otrzymaliśmy po 1 kg pszenicy dla każdego polskiego dzie-
cka - dar Stalina. Choć ^{banie} wygłodzeni nie byliśmy wcale mu wdzięczni,
wprost przeciwnie - nienawidziliśmy go. Z łagrów szli wynędzniali męż-
czyźni, szukali po amnestii swoich rodzin, od nich moja najbliższa przy-
jaciółka Zosia Gołacka, mieszkająca z rodziną w tym kołchozie razem K.
z nami, dowiedziała się, że jej ojciec zmarł z głodu i morderczej pracy
w łagrze. Doszły nas też wieści o wymordowaniu oficerów polskich w Katy-
niu, nie mieliśmy wątpliwości, kto to uczynił. Na własnej skórze doświa-
dczyliśmy co to jest ustrój sowiecki i ich wódz Stalin. Wielkie więc
było moje rozgoryczenie z powodu jego kultu w Polsce, po moim powrocie
do Polski.

Podjęłam naukę w Technikum Handlowym im. Vettera w Lublinie.
Nie zapisałam się do ZMP ja i najbliższa koleżanka: poza nami cała kla-
sa bez sprzeciwu wstąpiła do tej organizacji. Ja za tę decyzję zapłaci-
łam zanknięciem sobie drgi na studia wyższe. Nie żałuję tego. Po ~~6 latach~~
6 latach poniewierki dojrzałam do tego, by nie założyć czerwonego kra-
wata i wychwalać ustrój, którego nienawidzę.